

Kazimierz Kowalewicz

## Pamięć krążąca po *milieu* i odkrywająca sekret

*Wiesz, ostatecznie w życiu liczą się bardziej rzeczy,  
których nie pamiętamy, niż te, które pamiętamy...*

(Antonio Tabucchi)

*Pamięci*

*Jerzego Stefana Jajte*

*Jerzego Lewkowicza*

*Stanisława Siedleckiego „Siasia”*

*Franciszka Szypszaka*

*moich narratorów*

### Od wojennych opowieści do nowej opowieści o wojnie

Opowiadając o wojennych losach moich dziadków ze strony mamy i ich córek, może mógłbym uniknąć chronologii, nawet jeśli nie zawsze jest ona konsekwentnie przeze mnie przestrzegana. Jednak sam wybuch wojny i jej wpływ na losy wybranych postaci jest dla tej narracji wydarzeniem podstawowym. Gdybym starał się opowiedzieć o jakimś zdarzeniu, rozpoczynając od dowolnego momentu wojennej historii to i tak nie dałoby się uciec od chronologicznych ram. Staram się, jak dalej będzie można zauważyć, odnotować ile mniej więcej miałem lat, kiedy usłyszałem coś od moich dziadków i ich córek. Ale nie podążam tropem historii z mojego życia. Chronologia być może układa się mimo woli, ale o tym decyduje to, co wydarzyło się 1 września 1939 roku i później. To zdarzenia z mojego życia, dziejące się w obecności któregoś z bohaterów rodzinnych opowieści sprawiły, że dostałem relację o jakimś wojennym wydarzeniu, czymś postępowaniu. Powiniennem teraz powtórzyć, za badaczem pamięci, że wszyscy poznajemy się wzajem przez wysłuchiwanie i zdawanie relacji (Connerton 2012: 63). Tak pewno było i w moim przypadku.

Sądzę jednak, że nie bez znaczenia jest wiek osoby, która słucha relacji. Nie dlatego, że pewnych rzeczy się przy niej nie mówi, bo narrator myśli, że ten ktoś nie zrozumie, albo że osoba jest za młoda by tego wysłuchać, przyzwoitość nie pozwala o tym opowiedzieć, czy to może kogoś po prostu nudzić. To wiek i twoje życiowe doświadczenie pozwala by poprosić o rozbudowanie historii, dodanie jakichś detali. Czasem dopiero odpowiedni wiek pozwala sproblematyzować

pewną sytuację. Choć teraz wydaje się ciekawa, nie ma do niej powrotu. Musi pozostać sekretem tych, których dotyczy.

Ale kiedy myślę o sekrecie, to nie w tym znaczeniu, że uczestnicy zdarzenia czy zdarzeń zataili coś niewłaściwego i chcą to przemilczeć. Nie chcą, by to wyszło na jaw, mają tajemnicę, której boją się wyjawić. Jeśli już, to myślą o tym, co jest wówczas w ich spojrzeniu, emocjach, które im towarzyszą, jakie zachowują dystanse, jak poruszają się w obecności innych, przy obcych. Kiedy uczestnicy zdarzenia coś robią, działają, są pewnych rzeczy świadomi, innych nie zawsze. Ale co się dzieje, gdy doznają egzystencjalnego olśnienia. Czy wtedy o tym mówią, jak ten fakt determinuje ich działanie? Mówiąc inaczej, jak to buduje albo przebudowuje ich tożsamość. Mniej więcej o takich chwilach czy zdarzeniach myślałem, kiedy rozważałem, co uczynić tematem mojego opracowania w ramach projektu *Biografia a tożsamość narodowa*. Zatem także odsłaniam pewien sekret, jeszcze inaczej, opowiadam historię narodzin tematu opracowania. Ale żyjąc w postmodernistycznych czasach czynię to – wyjawiając sekret – z pewną ironią.

Zupełnie inaczej, nie zważając na upływ czasu, o wiele poważniej zapisuję uwagę o sekrecie w przypadku mojego dziadka Antoniego. Kiedy czytałem nasze wojenne narracje, barwne, dramatyczne i na swój sposób wyjątkowe, chciałem odnaleźć choćby zbliżoną sytuację do tej, która była jego udziałem. Nie bardzo mi się to udawało, stąd tylko uwagi o codzienności, odległe echo lektury książki Kazimierza Wyki (1984).

Moja opowieść o wojennych doświadczeniach części rodziny to swoiste powiązanie i przenikanie się pamięci i wspomnień, by nawiązać do książki Aleidy Assmann (2015). Częściej oczywiście sięgam do wspomnień, spoglądania wstecz na minione wydarzenia, zgodnie z intencją tej autorki. Najpierw wspomnień moich dziadków, cioci i mamy, a potem moich własnych. A gdzie jest zatem pamięć? Pamięć zaś „jest nie tylko warunkiem koniecznym wspomnienia, ale też produktem wspomnień. Oznacza ona bowiem także zasób wszystkich wspomnień i jako rezerwuar streszcza je i obiektywizuje” (Assmann 2015: 263). Na swój sposób zatem „wspominam” wspomnienia moich bliskich. Ale to, co zdaje się być najważniejsze, sam sekret o którym wyżej była mowa, nie należy do obszaru wspomnień, ani chyba pamięci. Przecież nikt z naszej rodziny nie wspominał o moim dziadku mijającym się na ganku z niemieckim lokatorem, ani nie cytował zdań, które być może wymienili. Mówili o tym, że był pewien lokator, to wszystko, więc jedynie wspominali.

## Stając na progu domu dzieciństwa

W momencie wybuchu wojny we wrześniu 1939 moi dziadkowie, ze strony mamy, Helena i Antoni Nawroczy, wraz ze swoimi trzema córkami, Praksedą, Marią i Moniką, mieszkali we własnym domu w Krotoszynie przy ulicy

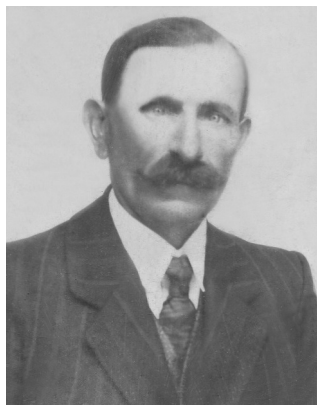
Sulmierzyckiej. Była to wtedy ulica z szutrową nawierzchnią, prowadząca do odległego o około 10 km miasteczka Sulmierzyce. Stąd nazwa ulicy. Dalej były już tereny Trzeciej Rzeszy. Ulica była i jest zabudowana tylko po jednej stronie, domy stoją obok siebie na 2–3 kolejnych działkach, przestrzenie pomiędzy nimi, większe lub mniejsze pozostawały niezabudowane. Były to wówczas tereny wykorzystywane rolniczo i takimi przeważnie pozostały do dziś. Od 1945 roku na ulicy przybyło może 7 albo 8 nowych domów, ale zasadniczy układ domostw się za bardzo się nie zmienił. W sumie, jak pamiętam z dzieciństwa, ostatni dom położony już pod lasem, leśniczówka, miał nawet numer 120. Numeracja była parzysta, a to wszystko na przestrzeni około 1600 metrów. Pas ziemi po drugiej stronie ulicy, ten naprzeciw domu dziadków, rodzaj klina, był ziemią niezagospodarowaną i niezalesioną. Jeszcze dalej biegła i biegnie ważna do dziś, droga do Ostrowa Wielkopolskiego. W ten sposób powstał ów klin. Znaczenie tej drugiej drogi, przynajmniej w tamtym czasie, podkreśla fakt, że jeszcze przed wojną była to droga asfaltowa. Trochę dalej w tym klinie wyznaczonym przez szutrową i asfaltową drogę były kwadry zalesionego lasu, by z czasem przejść w większe leśne połączenie ciągnące się do wspomnianego miasteczka Sulmierzyce. W czasie wojny okupant zdecydował się zalesić resztę tego klina. W zależności od gleby, były to olchy, sosny, dęby, a przede wszystkim sosny. Las rósł dość szybko i już z własnego dzieciństwa pamiętam ćwiczących w nim czołganie polskich żołnierzy z miejscowych koszar. Jako dzieci urodzone po wojnie z czasem zbieraliśmy tam grzyby i łączyliśmy po coraz większych sosnach.

Sama okolica, przynajmniej mnie tak się wydaje, nie jest nadzwyczajna, a jednak już w okresie przedwojennym skusiła letników. Był to, co prawda tylko jeden dom, ale z bardzo dużym ogrodem, domem dla służby i budynkiem gospodarczym. Jego właściciele pochodzili z Łodzi, po wojnie mieszkała tam ich córka i jeszcze w latach 90. minionego wieku kolejni spadkobiercy gospodarzy. Moi dziadkowie do wybuchu wojny mieszkali w tym domu zaledwie dziewięć lat. Sądzę, że zdecydowali się na zakup ziemi i budowę nowego domu by nie stracić pieniędzy, kryzys końca lat 20. chyba ich przestraszył, a jednocześnie, choć nie byli rolnikami, chcieli mieć więcej ziemi do uprawy, by zapewnić sobie w miarę bezpieczne, znośne życie.

Poprzedni dom, który dziadkowie sprzedali stoi do dzisiaj i wygląda nadal zupełnie przyzwoicie, choć oczywiście przez tyle lat musiał przejść rozmaite remonty. Obok domu, z tyłu, jest dość duży ogród, w którym można hodować warzywa, a nawet sadzić ziemniaki. Ale widać moim dziadkom nie wystarczało. Ten dawny dom po raz pierwszy pokazała mi mama, kiedy zachodziliśmy do ogrodnika – Pana Słomki, który miał obok dom i ogród. Choć w naszym domu był też ogród, a w nim warzywa, owoce i kwiaty, to trzeba było czasem zajrzeć do ogrodnika, by kupić coś ze szklarni. Szło się do Pana Słomki. Pokazałem ten dawny dom dziadków w swoim czasie mojej żonie, a później naszemu synowi. Znają ten dom także córki mojej siostry i jej wnuki.

We wrześniu 1939 roku po ostrzale od strony Cieszkowa, pierwszego miasteczka po niemieckiej stronie granicy, oddziały niemieckie zbliżyły się do Krotoszyna. Wtedy w mieście były koszary i stacjonował 56 pułk piechoty. Po odparciu ataku niemieckich wojsk żołnierze polscy wycofali się. Niebawem mieli chwalebnie zapisać się w bitwie nad Bzurą. Po trzech dniach do miasta wkroczyli Niemcy. Pozostaje dla mnie niejasne, kiedy to się stało, ale babcia powiedziała mi, że poszła wieść, by ewakuować się za linię Proсны, bo tak ukształtuje się linia obrony. Dziadkowie więc zapakowali część dobytku na stosunkowo duży czterokołowy wózek i wyruszyli w drogę. Przez Różopole, Roszki skierowali się na Koźminiec.

Podstawowa część tego, co zabrali to pierzyny i poduszki, elementarne wyposażenie uciekinierów, o czym wiadomo z setek filmów i fotografii z tamtego czasu, ale nie tylko. Mieli o tyle lżej, że całość dobytku ciągnęła krowa, zaprzęgnięta do wózka. Tylko babcia miała prawo do siedzenia na wózku. Z tej tułaczey wyprawy oprócz ogólnego zagubienia i chaosu często wspomniane były przez dziadków, mamę i ciotkę dwa wydarzenia. Jedno dotyczy dziadka. Po 2–3 dniach wędrówki zdecydowano, że dziadek wróci do domu sprawdzić, co się dzieje. Dlaczego wła-



Fot. 1 Antoni Nawrocki na początku II wojny światowej (Archiwum domowe Danuty Gniazdowskiej)

śnie dziadek nie bardzo wiadomo. Znaczenie mogło mieć to, że bardzo dobrze mówił po niemiecku. Uczył się zawodu w Niemczech i tam przez długi czas pracował. Ale prawdę mówiąc, wtedy język niemiecki lepiej lub gorzej znały wszystkie starsze osoby, wszak chodziły do szkoły w zaborze pruskim. Dziadek nie był zmobilizowany, ze względu na uszkodzenie oka podczas pracy w kuźni, nie podlegał temu obowiązkowi. Jak wielu Wielkopolan, lata wcześniej jako mieszkaniec zaboru pruskiego został wcielony do pruskiej armii i gdzieś, bodajże w Westfalii, uczestniczył w I wojnie światowej. W każdym razie to dziadek miał wrócić na ulicę Sulmierzycką i sprawdzić, co się dzieje. Nie wiem czy szedł pieszo, czy przejechał drogę na rowerze, nikt nigdy o tym nie wspominał. Gdy dotarł okazało się, że nie było żadnych zniszczeń ani włamań i kradzieży. Jedyne, co przywitało dziadka to kwik zgłodniałych świń i gdakanie kur we własnym domostwie, ale i na podwórkach i w chlewach sąsiadów. Po nakarmieniu tej zgłodniałej gromady świń i kur dziadek wyruszył w drogę powrotną. Gdy dotarł do reszty rodziny i znajomych, uciekinierzy postanowili wracać do domu. Ale z tą wędrówką i powrotem do domu wiąże się jeszcze jedno zdarzenie. Wyjeżdżając z domu dziadkowie zabrali z sobą psa. Niestety, po kilkunastu kilometrach drogi w ogólnym chaosie i harmidrze w miejscowości Roszki, na skrzyżowaniu trzech czy nawet czterech dróg, pies zaginął. Jakież więc było zdumienie dziadków i ich córek, gdy w drodze powrotnej na tym samym skrzyżowaniu,

ukochany Bryś, rozradowany gwałtownie skoczył w ramiona babci, która prawie upadła. Wierny piesek przez trzy dni czekał na swoich właścicieli. Bryś, zwykły łańcuchowy pies, żył jeszcze po wojnie, zapewne mogłem go pogłaskać, a czasem może poszczekiwał na mnie, ale nic nie pamiętam z tego czasu i możliwych naszych zabaw.

Kiedy uciekinierzy wrócili na swoje, czekała na nich okupacyjna rzeczywistość. Dziadkowie znali I wojnę, ale ta miała okazać się jakże odmienna. Czasem dość dramatyczna, a czasem nawet tragiczna, choć to ostatnie nie dotyczyło nikogo z bliskiej rodziny. Domownicy w najbliższą niedzielę wybrali się do kościoła, ale okazało się, że wyjście zeń jest już problemem. Kościół był otoczony przez wojsko i niemiecką policję, które skrupulatnie kontrolowały wychodzących. Wyławiano spośród wiernych poszukiwane przez siebie osoby, Niemcy byli dobrze zorientowani, zapewne z racji istnienia piątej kolumny, w roli i pozycji obywateli miasta. Jeżeli jednak ta sytuacja mogła tylko budzić strach, to za parę dni stało się bardziej dramatycznie. Wprowadzając własne porządki i chcąc zastraszyć mieszkańców okupant zdecydował, że każdego dnia wyznaczani będą zakładnicy. Już w pierwszym dniu czy nocy wybór padł na mojego dziadka. W przypadku śmierci jakiegoś Niemca zakładnicy byli mordowani. Doskonale pamiętam sytuację, w której babcia mi o tym opowiedziała. Miałem może 11 albo 12 lat. Przypominam sobie dokładnie miejsce w kuchni babci, w którym wtedy stała. Przygotowywaliśmy wełnę na swetry, które babcia wtedy robiła kolejno dla każdego z domowników. Przy pomocy taboretu stojącego na krześle, mówiąc słowami babci, pasmowaliśmy wełnę. Babcia stała tyłem do drzwi, okno na podwórze było odsłonięte, by wpadało wiele światła. Zapytałem wówczas: „I co wtedy zrobiliście?“, „Cały dzień odmawialiśmy Różaniec“, powiedziała rzeczowo babcia. „Cały dzień?“ zapytałem z niedowierzaniem. Babcia potwierdziła. Cztery kobiety odmawiające Różaniec, pełne nadziei i zapewne w strachu. Dziadek szczęśliwie cały i zdrowy wrócił do domu. W mieście tej nocy nie było incydentów, żaden Niemiec nie zginął. Nie pamiętam, ale chyba nie zapytałem babci, czy kiedyś zginął któryś z zakładników lub czy ktoś z naszych sąsiadów był w podobnej sytuacji.

Dziadek wrócił do pracy w swoim dawnym miejscu zatrudnienia – w jednym z dwóch tartaków w mieście. Pracował przy obecnej ulicy Raszkowskiej i w tym parowym tartaku odpowiadał za ruch maszyn. Już parę lat po wojnie odwiedziłem go tam parę razy. Miałem wtedy pięć albo sześć lat.

Ale okupantowi praca tych którzy, jeżeli było możliwe, kontynuowali swoje zajęcia sprzed wojny nie wystarczała. Na projekt Wielkiej Rzeszy mieli pracować wszyscy podbici, a przynajmniej ci, którzy ukończyli 15 lat. Moja ciocia Prakse-da, najstarsza córka dziadków, została wraz z kolegami i koleżankami wysłana do pracy w gospodarstwie rolnym, gdzieś w okolicach Jeleniej Góry. Być może czasem w domu w dzieciństwie padła jakaś niemiecka nazwa tej miejscowości, ale nic więcej poza tym, co napisałem sobie nie przypominam. Podobnie, jak pewno w przypadku wielu innych, zatrudniających młodych Polaków, gospodarz



był okrutny i po paru miesiącach przymusowi robotnicy po prostu zwiali. Ciocia była jedną z tych osób. Dotarła do Krotoszyna i do końca wojny ukrywała się u cici. Po wojnie również od czasu do czasu odwiedzałem cicię i ten dom, ale nie pamiętam nawiązywania do tematu wojny.



Fot. 2 Maria Nawrocka (po mężu Kowalewicz) w obozie pracy w Berlinie – klęczą na dole z lewej strony (Archiwum domowe Danuty Gniazdowskiej)

Mamę początkowo potraktowano trochę łagodniej. Jeżeli dobrze pamiętam, głównie ze względu na wsparcie rodziny koleżanki, która miała niemieckie korzenie. Pracowała więc u lokalnego bauera, jak mówiono jeszcze długo po wojnie, jakieś 1,5 km od domu patrząc po przekątnej. Dziadkowie mogli ze swojego podwórka spojrzeć na ten dom i przylegające doń gospodarstwo. Bauer, jak wspominała mama, był strasznym okrutnikiem, szczególnie gdy wracał podchmielony z centrum. Jego żona ze strachu chowała po kątach swoich synów, nad którymi znęcał się bardziej niż nad pracującymi w gospodarstwie Polakami. Mnie także dość często pokazywano ten dom. Widniał jasny na niewielkim wzgórzu, obok jednej z cegielni. Dom zresztą istnieje do dzisiaj, jedynie widok jest zakłócony, bo w międzyczasie podrosły drzewa i pojawiły się nowe budynki na wspomnianej linii patrzenia. Ale o dalszym losie mamy zdecydowało zachowanie starszej siostry. Bowiem do niemieckiego urzędu pracy w Krotoszynie szybko dotarła wiadomość o ucieczce cici Praksedy. Za karę, jej młodsza siostra Maria – w przyszłości moja mama, została wysłana do przymusowej pracy w Niemczech. Najpierw gdzieś w okolicie Berlina, a później w samym Berlinie. Teraz już wstawiennictwo

niemieckich znajomych niewiele dało. Kiepski malarz chciał nie tylko skorzystać z jej pracy, ale jeszcze chciał mieć pod okiem w samym sercu Wielkiej Rzeszy. Wspominam w tej opowieści czasem o postmodernistycznej ironii, więc powiem, że dzięki temu markę OSRAM znałem wcześniej niż mogłem doświadczyć wartości tych produktów. Zbyteczne dodawać, że ta fabryka to jedno z miejsc niewolniczej pracy mojej mamy.

Dom babci i dziadka tylko na pozór pustoszał. Nieoczekiwanie otrzymał nowego lokatora. Nie bardzo wiem na mocy jakiej decyzji, ale okazało się, że dziadkowie muszą się wyprowadzić, a w domu ma zamieszkać niemiecki urzędnik. Tego nie pamiętałem, przypomniła mi to moja siostra Danka. Babci udało się ubłagać jakiegoś urzędnika, by mogła zostać we własnym domu, mieszkając na piętrze, na poddaszu właściwie. W domu o spadzistym dachu, jak wtedy często budowano, na piętrze był duży pokój, jeszcze nie w pełni wykończony. Babci udało się uzyskać zgodę, by mogła tam zamieszkać. Nie tylko szybko wytynkowano i pomalowano ściany, ale całość przegrodzono. W ten sposób powstała bardzo mała kuchnia z niewielkim oknem wychodzącym na przestrzeń przed schodami i dalej z oknem na zewnątrz. Drugie pomieszczenie to pokój. Do tej kuchenki wstawiono niewielki, okrągły metalowy, dość wysoki, wsparty na trzech nóżkach piecyk. Niewielki, jak pamiętam, bo można było na nim postawić średniej wielkości garnek. Na tym piecu babcia przygotowywała poranne czy wieczorne zupy, ale też obiady dla siebie, męża i córek, których ze względu na prace przymusowe w domu ubywało z miesiąca na miesiąc. Jako dziecko miałem okazję czasem jeść dania przygotowane na tym piecu. Ciocia Monika, najmłodsza córka dziadków, w chwilach młodzieńczego buntu i w duchu harcerskich wspomnień, w tej samej kuchni, po wojnie służącej raczej jako spiżarnia, gotowała sobie na tym piecyku czasem rosół albo budyń czy inny przysmak. Jako dziecko często jej wtedy towarzyszyłem. Była to atrakcja dla mnie, jednorazowa przygoda, więc nie czułem, jak było to kłopotliwe dla babci, kiedy dzień po dniu przez miesiące i lata stawiała garnek na tym piecu. Jedyne, co miała na pociechę to fakt, że była nadal we własnym domu, uprawiała ziemię, miała zapewnioną jakąś żywność.

Dom, który dziadkowie wybudowali, jak wspomniałem, dziewięć lat wcześniej, nie był wyjątkowy. Może nieco lepszy od dwóch czy trzech innych na ulicy, ale zupełnie nie wyróżniał się wśród wielu innych. W każdym razie gdzieś zdecydowano, że to w nim zamieszka niemiecki urzędnik. Może on sam go sobie wybrał. Ale to, co mnie najbardziej intryguje, to relacje, jakie wtedy zaistniały między dziwnym przybyszem a moim dziadkiem. Nigdy nie mówiono mi o lokatorze, czy był to starszy pan czy może ktoś w średnim wieku. Nie wiem też, czy miał rodzinę. Czy może miał pretensje, że mieszkając na piętrze dziadek albo babcia robili zbyt dużo hałasu. Czy rozmawiał z moimi dziadkami. Dziadek Antoni przecież znał dobrze, jak wspomniałem, język niemiecki, więc mogli czasem pogadać, choćby o pogodzie albo o wiśniach w ogrodzie. Nie pamiętam, by o tym kiedykolwiek w domu wspomniano. Czasem wyobrażam sobie dziadka, kiedy

w swojej sztruksowej marynarce, z nieodłączną bańką w beżowym kolorze na zbożową kawę z mlekiem, w postawie wyprostowanej, przemierza ganek i mija się wtedy z narzuconym lokatorem. Nie wiem, czy urzędnik jeździł samochodem albo czasem dorożką, czy może tylko na rowerze. I co najważniejsze nie wiadomo, czym się zajmował. Nigdy na jego temat nie rozmawiałem z babcią. To ona przez czas wojny mieszkała w tym domu, spotykała go też zapewne na ganku albo na podwórzu, tak jak jej mąż. Mój dziadek zmarł, gdy miałem 7 lat, więc nie byłem jeszcze gotów na tego typu rozmowy. Ale z babcią przez lata rozmawiałem na różne tematy, lecz nigdy o niemieckim lokatorze w naszym domu. Także nikt z sąsiadów, bliższych lub dalszych, nigdy o tym nie wspomniał. Prawdę mówiąc, do czasów wojny czasem nawiązywano, ale to nie był wyraźnie zauważalny wątek w codziennych rozmowach.

Stąd niewiele wiem, czy pamiętam, co działo się wtedy na naszej ulicy, bo nikt z sąsiadów, rodziców kolegów i ktokolwiek inny o tym nie mówił, nie opowiadał. Nawet jeśli, wielki, a zarazem wojenny świat na nią wkroczył. Do pobliskiego lasu kopać wały obronne i budować betonowe konstrukcje maszerowali codziennie jeńcy z różnych krajów – Czesi, Anglicy, Francuzi. Czasem wołali do młodych dziewcząt *I love you*. To jedyne słowa po angielsku, które z tej wojennej lekcji zapamiętała moja mama. Długo po wojnie z tego obronnego wału zjeżdżaliśmy na sankach albo nartach, czasem zaglądaliśmy do dość zagadkowego betonowego zbiornika, wypełnionego wodą. Mimo przywołania jenieckich marszów do niewolniczej pracy to obraz jest nieco sentymentalny.

Ale na naszej ulicy zło w swym wymiarze tragicznym także było obecne. Kiedyś w trakcie spaceru po pobliskim lesie, we wspomnianym klinie, na dość dużej sosnie przy leśnym dukcie, na tzw. Św. Rochu, zauważyłem wycięty scyzorykiem krzyż. „Dlaczego krzyż?” zapytałem mamy. Okazało się, że na tej sosnie na początku wojny Niemcy powiesili człowieka, być może komunistę – powiedziała mama. Ten krzyż czasem odnawiano, pogłębiając pierwotne nacięcia, różnie było w kolejnych latach. Ale chyba dopiero w 1980 roku ktoś zawiesił zrobiony z drewna krzyżyk i pojawiły się zatknięte za nim kwiaty. Tak było jeszcze rok czy dwa-trzy lata. Jednak znak ten nie odsyłał do konkretnego, nie miał swojego odniesienia, nadal ofiara była anonimowa. Z synem i siostrzenicami czasem w czasie spacerów oglądaliśmy ten krzyż i sosnę. W pewnym momencie, nie potrafię powiedzieć kiedy, drzewo zniknęło, a z nim ślady wojennej zbrodni. Wiedziałem też w dzieciństwie, że jeden z sąsiadów stracił życie w czasie wojny. To młody wówczas człowiek, Jan Gniazdowski, sąsiad dziadków, był dość niepokorny, na swój sposób nie tylko się przeciwstawiał wrogowi, ale dawał wyraźnie do zrozumienia, że jest na własnej ziemi, że to on jest jednym z prawych gospodarzy tej ziemi. Nie schodził na jezdnię ani się nie kłaniał, kiedy mijał Niemców. Sprzeciwiał się tak bardzo, że ukarano go okrutnie, zamęczono w jakimś obozie w Niemczech. Niestety dzisiaj już nikt nie pamięta, gdzie to było. Jego siostrzeniec Andrzej też tego



nie wie. W mojej młodości nigdy chyba nie padła nazwa miejscowości w której zginął.

Przywołuję z pamięci zdarzenia, które dotyczą naszej ulicy i jej mieszkańców. Ale jest jedno, które wykracza poza ten obszar i jest warte odnotowania i zapamiętania. Opowiedziała mi o nim mama. Pewnego dnia, kiedy była w centrum – w mieście, jak mówiliśmy – widziała dramatyczne, a właściwie tragiczne zdarzenie. Było to na ulicy Koźmińskiej, od nazwy miejscowości w kierunku której ona prowadzi. Niemiecki oficer, zapewne dla zabawy i by podkreślić, że przynależy do rasy panów, przymusił napotkanego Żyda, by ten biegał dookoła maszerującego oddziału, zapewne jakiejś szybko maszerującej kompanii. Przymuszony do biegu był już na granicy wyczerpania, ale starał się walczyć o swoje życie. Mama mówiła o tym z wyraźnym smutkiem i przerażeniem. Zapytaliśmy z siostrą, co się potem stało. „Zastrzelił go” – odpowiedziała, choć samego tego momentu nie widziała. Ludzie potem opowiadali, o tym na mieście. Nie wiem, o czym mówiliśmy wcześniej, ale w punkcie wyjścia tej opowieści były zapewne myśli o traktowaniu Polaków i Żydów przez Niemców. To wszystko zdarzyło się jeszcze chyba w początkach okupacji, kiedy Żydom wolno było poruszać się po mieście, a mama, jeśli nawet pracowała u lokalnego bauera, to wychodziła na miasto, odwiedzała koleżanki albo rodzinę.

Z opowieści mamy o pracy w Berlinie i okolicach pamiętam parę rzeczy. Chociaż mama nie miała żadnego przygotowania technicznego, nigdy nie pracowała przy maszynach, to została zatrudniona przy ich obsłudze. Nie narzekała specjalnie na wykonywaną pracę, ani na traktowanie przez niemiecki personel zakładów, w których była zatrudniona. Niektórzy byli w swym zachowaniu normalni, bez przejawów nienawiści czy złości. Czasem dawali kromkę chleba, ostrzegali, że mogą być naloty w nocy. Mama nieraz wspominała swojego majstra czy kierownika, już starszego człowieka, często dla żartów, stawiała z tyłu na jego za dużych drewniakach, w których chodził. Traktował ją dobrotliwie, rozumiał ten żart. Gorzej było w barakach, gdzie spano i spędzano wolny czas. Tutaj przejawy złości i nienawiści ze strony służby obozowej były czymś normalnym. Rewizje, albo kary za bałagan zdarzały się nierzadko. Jednak to jedzenie często powracało jako temat w wojennych opowieściach mamy. Kiedy w domu nie chciałem jeść kapuśniaku, mama wspominała, że w obozie musiała jeść zupę ze ślimaków, pić czarną, gorzką kawę i jeść czarny chleb, który przypominał glinę. Ale to mnie nie wzruszało, szedłem do kuchni babci po jakieś smakołyki. Oprócz tego mama opowiadała też o alianckich nalotach. Najpierw pojawiały się samoloty, które stawały na niebie „choinki”, jak mówiła mama, i robiło się jasno jak w bardzo słoneczny dzień. I wtedy nadlatywały bombowce. Życie mamy nie było nigdy z tego powodu zagrożone, choć dwa czy trzy razy wspominała o ogromnych lejach po bombach i może czasem o niewybuchach, niektórych leżących blisko miejsca pracy. Wszędzie słychać było ryk syren. Ale nie tylko w czasie bombardowania było niebezpiecznie. Im bliżej do Berlina miały wojska walczące z hitlerowcami, tym coraz częściej

w okolicy obozu czy fabryki można było zauważyć beczki z benzyną. By podpalić zakłady, ale może też i baraki – miejsca kwaterunku zmuszonych do niewolniczej pracy kobiet i mężczyzn. „Gdyby tak się stało, uciekajcie, gdzie możecie. Każdy Niemiec wam pomoże”, mieli mówić Niemcy, którzy pracowali w zakładzie. Pamiętam te słowa dobrze, to prawie cytat. Czasem, gdy byłem starszy, dodawałem nieco złośliwie – „ale to chyba było już po Stalingradzie, kiedy czuli strach”.

Więźniowie, którzy jedli czarny chleb czasem też mogli dostać paczkę żywnościową od rodziny. Trzeba było jechać po nią do specjalnego urzędu. Moja mama też dostała taką paczkę. Pojechała wtedy ze swoją koleżanką z Krotoszyna – Bronią Jaśkowską (po mężu Wysocką). Kiedy wracały, może nieco roztargnione i przeżywające wyprawę, zgubiły paczkę. One obie i koleżanki musiały zadowolnić się tylko wspomnieniem o dobrym jedzeniu. Pani Bronia mieszkała blisko nas i wielokrotnie słuchałem opowieści o tej podróży, kolejką miejską i metrem, z przesiadkami. Poznałem prawie wszystkie stacje w Berlinie.

Praca w fabryce ustała nagle, gdzieś w końcu kwietnia 1945. Jak wspominała mama, Niemcy chętnie dawali im rowery, by mogli pojechać do domu. Sama dostała piękną damkę. Ale szczęście nie trwało długo. We Frankfurcie nad Odrą rower zabrali rosyjscy żołnierze, potraktowali go jak własną zdobycz. Pozostała podróż pociągiem, wkrótce mama ze znajomymi dotarła do domu. Czekali na nią rodzice i siostry. Ciocia Prakseda, ukrywająca się, kiedy tylko wyzwolono miasto, mogła wrócić do rodziców. Może w tym samym czasie lub nawet nieco wcześniej udało się wrócić do domu cioci Monice. Kiedy skończyła 15 lat została wywieziona w okolice Wielunia i Pajęczna, do kopania okopów i budowy wałów przeciwczołgowych. Opowiedziała mi o tym pewnego razu, w czasie przerwy w pracy, pracowaliśmy na polu, może suszyliśmy siano. Ciocia kształcona na osobę mającą zajmować się modą – modystkę – chyba na początku lat pięćdziesiątych tak się mówiło, z miłości rzuciła to zajęcie dla przystojnego Mieczysława i zamieszkała na wsi. Teraz, w początku lat sześćdziesiątych, po niedawnej pielgrzymce na Jasną Górę opowiadała mi o wotach pozostawionych przez cudownie uzdrowionych. Pamiętałem, że w początkach odwilży 1955 lub 1956 roku z wycieczką/pielgrzymką z zakładu pracy pojechała do Częstochowy. Wydawało mi się, że wtedy była tam pierwszy raz. Jednak okazało się, że tak nie było. Ciocia opowiadała, jak w czasie pracy, kopiąc okopy, często spoglądali w stronę Częstochowy, oczekując pomocy, żyjąc nadzieją. Jeżeli się nie mylę, już po zwolnieniu z kopania okopów, udało jej z grupą pojechać do Częstochowy, oczywiście widzieli klasztor tylko z zewnątrz.

Ale nim kolejno córki dziadków wracały do domu, musiał go opuścić, właściwie uciec, pewien lokator. Było to gdzieś pod koniec 1944 roku albo w pierwszych dniach stycznia roku następnego. Wynosząc się, niechciany lokator, zostawił dziadkowi odbiornik radiowy i porcelanowe talerze czy półmiski. Odbiornik dziadek oddał swojemu kuzynowi, powiedział, że nie zna się na polityce i nie będzie słuchał radia. Dziś traktuję to jako gest odrzucenia Historii przez dziadka,

proste potwierdzenie, że ma się innego Pana, w którym pokłada się nadzieje. Parę razy próbowała Historia zakłócić życie dziadka i zawsze dawał sobie radę. Dziadek wierzył, że jego ukochana córka wróci cała do domu i żaden odbiornik radiowy nie jest do tego potrzebny. Porcelana też nie bardzo się przydawała, miała pewnie pod spodem jakieś faszystowskie symbole. Do rodzinnej legendy przeszły opowieści o tym, że kiedy byłem dzieckiem jednorocznym czy dwulatkiem z radością tłukłem te talerze. To ponoć była moja i domowników ulubiona zabawa. Kiedy trochę podrosłem to zrozumiałem, że tak chętnie pozwalano mi je tłuc, bo pochodziły z niemieckiego prezentu. Mimo woli było więc coś, co mnie z tym tajemniczym człowiekiem łączyło. Co prawda nie mógł przewidzieć, jaki będzie los pozostawionej porcelany, ale podświadomie, jak każdy ciemiężca dał znak, że lubi dzieci, trzeba im dać coś do zabawy.

Trochę naciągając można powiedzieć, że odjazdy i przyjazdy są w początkach i końcu tej opowieści. W książce *Roland Barthes*, napisanej właściwie o sobie samym, Roland Barthes mówi, że mniej więcej pamięta w jakiej kolejności napisał fragmenty składające się na nią. Ale w tym samym zdaniu, autor *Imperium znaków*, pyta: „ale skąd ona się wzięła? W ramach jakiego porządkowania, jakiego klasyfikowania?” (Barthes 2011: 160). I dodaje, że tego już nie pamięta. Czyż mógłbym powiedzieć coś innego? Może tylko raz jeszcze powtórzyć uwagę o tym, co stanowi ramę tych fragmentów. Odjazdy i przyjazdy, swoich i obcych, z zadziwiającym zachowaniem symetrii. Czy można, ale i czy warto ją jakoś rozbić?

## Tabucchi – Marciniak – Taussig – pewna konieczna triada

Każdy, kto zobaczył ten ciąg nazwisk zastanawia się, o co w tym wszystkim może chodzić. Postaram się, by stało się to jasne, dlaczego taki właśnie wybór. Na wszelki wypadek powiem od razu. To słowo świadek, związane z każdym z tych autorów, łączy ich, a właściwie to, co oni mówią o nim.

Jako czytelnik *Literatury na Świecie* na początku lat dziewięćdziesiątych poznałem opublikowane wtedy, krótkie opowiadania Antonio Tabucchiego. Ale to aktorka Odin Teatret – Roberta Carreri sprawiła, że zacząłem śledzić dostępną w tłumaczeniu twórczość tego pisarza. Jej słowa o nim były dla mnie dodatkowym argumentem, by zwrócić nań uwagę. Zaś jej znakomita gra w przedstawieniu *Sól* opartym na jego tekście i błyskotliwa reżyseria Eugenio Barby zrobiły swoje. Mimo zainteresowania książkami Tabucchiego, z pewnym opóźnieniem dotarłem do powieści *Tristano umiera*. Czytając opowieść Tristana, żołnierza II wojny światowej, znalazłem w książce słowa, które warto są nie tylko przywołania, ale rozważenia. Jedno ze zdań z początkowej partii książki wybrałem jako motto tego tekstu. Teraz mam na uwadze te, które pojawiają się, gdy opowieść zbliża się do końca. Zwracając się do pisarza, który ma spisać jego życie Tristano mówi:

[...] A świat składa się z czynów, z aktów... konkretnych rzeczy które jednak potem mijają, ponieważ czyn, pisarzu, dokonuje się, zdarza... i zdarza się tylko

w określonej chwili, potem znika, nie ma go już, należy do przeszłości. Aby powstał, potrzebne są słowa, które sprawiają, że trwa, zaświadcza o nim. Nieprawda, że verba volant. Verba manent. Ze wszystkiego, czym jesteśmy, czym byliśmy, powstają słowa, które wypowiedzieliśmy, słowa, które ty teraz zapisujesz, pisarzu, nie zaś to, co zrobiłem w określonym miejscu i określonym czasie. Zostają słowa... moje... a przede wszystkim twoje... słowa, które zaświadcza. Słowo nie jest początkiem, lecz na końcu pisarzu (Tabucchi 2005: 150–151).

Nawet w tym, niezbyt długim, cytacie łatwo zauważamy jak chętnie autor korzysta z gry aluzji i cytatów. W postmodernistycznych czasach takie postępowanie nie powinno nas dziwić. Ale warto pamiętać o słowach, które następują już po cytowanych. Umierający Tristano, i pewnie też autor, pyta: „Kto jednak świadczy za świadka? W tym rzecz, nikt nie świadczy za świadka...” (Tabucchi 2015: 151). Uważny czytelnik zauważy, że ostatnie słowa z tego cytatu to powtórzenie fragmentu wiersza Paula Celana, które są mottem (nie jedynym) tej książki. Odkrywając jeszcze jedną literacką aluzję, możemy ją potraktować jako głos przemawiający za tym, że rzeczywistość jest trudno uchwytna, rozproszona i przede wszystkim niejednoznaczna. A co zrobić, gdy ktoś zdecyduje się świadczyć za świadka.

Nie chciałbym, by w tej tytułowej triadzie dostrzegano przesadę albo moją intelektualną szarżę. Kiedy patrzymy na to, co działo się i dzieje w nauce albo w świecie wiedzy, widzimy, że tych, co powtarzają myśli wielkich uczonych nie brakuje. Trudniej o tych, którym lektura tekstów tych wielkich pozwala na uwolnienie własnej wyobraźni czy sprawia, że lądują na przysłowiowej innej planecie. Kiedy myślę o tych ostatnich, widzę wśród nich mojego przyjaciela – Mieczysława Marciniaka, uczestnika projektu opisanego w tym tomie. Mówiąc najkrócej, na jego przykładzie wiem, co to znaczy wyobraźnia socjologiczna. A w dodatku postawienie mojego przyjaciela obok włoskiego pisarza ma uzasadnienie. Tak ma, ale dla pewności przywołam osobę swoistego pośrednika. Chodzi mi o Jacquesa Derridę. Joanna Ugniewska, znawczyni twórczości autora *Requiem* czy też *Robi się coraz później*, przypuszcza, że Tabucchi podąża tropem myśli francuskiego filozofa (Ugniewska 2005: 160). Mnie również łatwo było uznać, że mój przyjaciel może podążać podobnym tropem. Przez pewien czas podróżowaliśmy, co parę dni, wspólnie samochodem. Co oczywiste, rozmawialiśmy na różne tematy, czasem na tzw. naukowe, także o Derridzie, albo na te związane ze zwykłym życiem. Zawsze byłem pod wrażeniem skojarzeń, do których prowadziła mojego przyjaciela lektura tekstów albo tzw. rzeczywistość faktów. Nie wątpiłem i nie wątpię, że swoją głębokością i świeżością każdego mogą zaskoczyć. Dlatego też widzę w nim odpowiedniego partnera do dyskusji z włoskim autorem, nie tylko o filozofii albo literaturze, ale i o świadku. Paradoksalnie odwołam się do rzeczy całkiem prozaicznej i być wierny duchowi postmoderny skorzystam z cytatu. A zarazem by nieco zejść z tych wysokich tonów sięgnę do czegoś w rodzaju anegdoty. Podczas jednej z naszych podróży przyjaciel opowiedział mi o jakiejś audycji

radiowej, której wysłuchał dwa albo trzy dni wcześniej. Nie pamiętam dokładnie czego dotyczyła, jakiego zdarzenia z przeszłości, może czegoś, co zdarzyło się na Wołyniu lub Lubelszczyźnie w czasie II wojny światowej. Ale dobrze pamiętam, co było w centrum relacji przyjaciela. Kiedy mężczyzna opowiadał reporterce o jakimś zdarzeniu, siedząca obok kobieta powtarzała wielokrotnie „Tak było, tak było”. Opowiadający znalazł więc świadka, kogoś, kto poświadczył o czym opowiadał. Obaj z przyjacielem odtąd przy różnych okazjach powtarzaliśmy „Tak było, tak było”. Ale rozumiem, że wobec głosu znakomitego pisarza przytoczenie prostego przykładu może nie wystarczać. Nawet, jeśli został dostarczony przez kogoś o socjologicznej wyobraźni.

Tak jak ludzie teatru sprawili, że zacząłem czytać utwory Tabucchiego, tak lektury teatrologów skierowały moją uwagę na artykuły i książki Michaela Taussiga. Byłem zszokowany, kiedy nagle odnalazłem jego tekst przetłumaczony na język polski. Wydawało mi się, że jego przesłanie dobrze pasuje do tego, o czym od pewnego czasu myślałem. Tak wyłoniła się tytułowa triada tej części opowieści. Ograniczę się do cytatu z początków artykułu. Rzecz miała miejsce w Medellin w lipcu 2006 o godz. 13:30. Pisze Taussig:

Widziałem mężczyznę i kobietę, a przynajmniej mam wrażenie, że jedna z tych postaci była kobietą, druga zaś mężczyzną. Zdaje się, że kobieta zaszywała mężczyznę w białej nylonowej torbie przypominającej worek, w którym chłopci przewożą ziemniaki lub kukurydzę na osłe wytrwale zmierzającym ku rynkowi. Widziałem to wszystko przez zaledwie trzy sekundy wychylając się z okna mknącej taksówki. Opisałem to w swoim dzienniku. Następnie napisałem czerwoną kredką poniżej: PRZYSIĘGAM, ŻE TO WIDZIAŁEM (Taussig 2014: 82–83).

Dodaje zaraz, że jakby wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył – wykonał rysunek. Taussig nie kryje fascynacji nim. I choć dalej antropolog rozważa, z czego wynika szczególność tego obrazu, mnie interesują słowa wypisane czerwoną kredką. Jakże często powtarzamy „Przysięgam, że to widziałem”.

Kiedy więc myślę o tym, co zapamiętałem ze zdarzeń w których uczestniczyli moi najbliżsi i tych, w których sam uczestniczyłem, ufam, że mogę liczyć na głos mojej siostry Danki, która potwierdzi: „Tak było, tak było”, a gdyby to komuś nie wystarczyło, mogę zawsze powtórzyć słowa Michaela Taussiga: „Przysięgam, że to widziałem”, lub nieco je zmieniając: „Przysięgam, że to słyszałem”.

## Bibliografia

- Assmann A., 2015, *Wprowadzenie do kulturoznawstwa. Podstawowe terminy, problemy, pytania*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań.
- Barthes R., 2011, *Roland Barthes, Słowo/obraz terytoria*, Gdańsk.
- Connerton P., 2012, *Jak społeczeństwa pamiętają*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa.

- Tabucchi A., 2005, *Tristano umiera*, Czytelnik, Warszawa.
- Taussig M., 2014, *Przysięgam że to wiedziałem*, „Respublica” nr 26, s. 62–67.
- Ugniewska J., 2005, *Od tłumaczki*, [w:] A. Tabucchi, *Tristano umiera*, Czytelnik, Warszawa, s. 159–163.
- Wyka K., 1984, *Życie na niby*, Wydawnictwo Literackie, Kraków.